

# Wiadomości Wędkarskie

Rok VI

SIERPIEŃ 1949 ROK

Nr 8

M I E S I Ę C Z N I K

ORGAN ZWIĄZKU SPORTOWYCH TOWARZYSTW WĘDKARSKICH R.P.

## Na czasie...

Naczelnym, najważniejszym celem każdego Towarzystwa Wędkarskiego jest: pielegnowanie sportu wędkarskiego.

Każdy statut poszczególnego Towarzystwa dokładnie określa drogę, którymi dążyć będzie Towarzystwo, aby ten cel osiągnąć.

Ponadto każde z Towarzystw posiada regulamin dokładnie określający prawa i obowiązki członków.

Wreszcie wśród braci wędkarskiej obowiązują prawa niepisane, dużo może ważniejsze, ponieważ czerpiące swe źródło z umiłowania naszego sportu i sportowej tradycji wędkarskiej.

Takim naprzykład warunkiem tego prawa niepisanego jest dążenie do łowienia przy użyciu, jak najdelikatniejszego sprzętu, gwoi jedynie wyrównania szans, jakie posiada zacięta ryba.

Czyż może mienić się prawdziwym sportowcem ten, kto używa do łowienia płoci linewki, niewspółmiennie grubej, zdatnej do wyholowania potężnych rozmiarów ryby?

Czyż w takim wypadku wędkarz taki zdolny jest zaznaczać przyjemności walki?

Oczywiście nie!

Złowienie ryby ograniczy się do jej zacięcia i wyrzucenia przez głowę.

Tak samo nie do pomyślenia dołądzić było wśród wędkarzy - sportowców prowadzenie handlu złowionymi rybami.

W razie złowienia większej ilości ryb każdy czuł się w obowiązku podzielić się nadmiarem z tymi kolegami, którzy tego dnia mieli słabsze wyniki lub nie złowili.

Ten zwyczaj, to prawo niepisane miało wielce dodatnie strony, gdyż ograniczyły odłowy dużych ilości ryb, pogłębiały zażyłość między członkami, umacniały poczucie koleżeństwa, wykluczały wędkowanie z chęci zysku.

Dziś niestety zaczyna się dziać inaczej!

Bezpośrednią przyczyną tego zła jest wprowadzenie zbyt wysokich opłat za prawo wędkowania, o których to wspominaliśmy już w poprzednim numerze „Wiadomości Wędkarskich“, w artykule wstępnym.

Jako przyczynek do tego artykułu posłużyła mi rozmowa ze starym, naprawdę wysoce cenionym przeze mnie wędkarzem - sportowcem.

Spotkaliśmy się w pociągu. Obaj wracaliśmy z jezior mazurskich.

Toteż nie dziwnego, że pierwsze moje pytanie zahaczyło o ilość złowionych ryb.

Wymienił pokaźną cyfrę i bez ogródek wyciągnął z portfela kwit kasowy na zł. 2.620, dodając: o to dowód, że tyle złowiłem.

Pokwitowanie było wystawione przez Państwową Centralę Rybną, zawierało wyszczególnienie gatunków ryb, jakości, cenę za kilogram, imię i nazwisko sprzedawcy, nawet Nr. jego karty wędkarskiej.

Jasnym jest, że od tego momentu rozmowa nasza przerodziła się w kłótnię.

Na moje zarzuty, wytykające sprzedaż ryb, a przeto niesportowe postępowanie, otrzymałem następujące wyjaśnienie.

Przede wszystkim, na wstępie zaznaczył mój rozmówca, jestem urzędnikiem państwowym i korzystając z przysługującego urlopu, postanowiłem 14 dni spędzić na jeziorach mazurskich.

Jako bazę wypadową dla łowienia ryb wybrał Mikołajki. Na miejscu uzyskał informację, że zezwolenia na sportowy połów wędką wydawane są w innej miejscowości, odległej od Mikołajk o 20 km.

Tam spotkał już drugi z kolei go zawód. Pobrano od niego 3.000 zł. za prawo wędkowania na błystkę.

Wskutek niesprzyjającej pogody wędkował tylko przez 4 dni. Pierwszy dzień nie przyniósł nic.

Koszta przejazdu po zezwolenie, wynajęcia łodzi, przewoźnika i opłaty za licencję nadwyreżyły na tyle budżet, że musiał ratować swą kasę przez sprzedaż złowionych ryb.

Nie mogę w dalszym ciągu pogodzić się z tymi argumentami i uważam nadal, że taki handel złowioną rybą nie może mieć miejsca, wśród wędkarzy sportowców i tu właśnie nasuwa się nowe zadanie dla Towarzystw, których obowiązkiem jest uświadamianie i kształcenie w cnotach wędkarskich swych członków.

Należałoby jednak wyciągnąć stąd naukę do zastosowania. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że stosowany przez regulamin Związkowy i przez wszystkie Towarzystwa Wędkarskie zakaz sprzedaży ryb złowionych winien być respektowany i nadal. Jest on najistotniejszą cechą amatorskiego, sportowego łowienia ryb, nie zawodowego, zarobkowego uprawiania rzemiosła rybackiego, boć przecież istnieje pewna grupa ludzi, którzy środki na swoje utrzymanie czerpią wyłącznie z łowionych ryb wędką.

Gdy nadmiar złowionych ryb, czy też inna konieczność, każe ryby sprzedawać, to wtedy przy zachowaniu wszelkiej ostrożności, podyktowanych potrzeb usprawiedliwienia się, co do sumy otrzymanej lub ilości sprzedanych ryb, otrzymane pieniądze należy przelać do kasy Towarzystwa. Wysokość opłat za spinning, wysokość dodatkowych kosztów, gdy chce się połowić na obcych terenach powoduje jakieś zmniejszenie tych nadmiernych dla przeciętnie sytuowanego człowieka pracy opłat. Należy więc z jednej strony jak najkategoryczniej występować przeciw możliwości sprzedaży złowionych ryb, z drugiej zaś — dążyć do możliwego obniżenia kosztów, związanych z wędkowaniem.

W tym ostatnim wypadku mamy już obietnice obniżenia stosowanej dziś stawki za spinning.



# Łowienie pstrągów, lipieni i łososi na sztuczną muchę

Istnieją dwa sposoby łowienia pstrągów na sztuczną muchę, znane pod nazwą łowienia na muchę mokrą albo utopioną, oraz łowienie na muchę suchą. „Mucha utopiona“ naśladuje niezwyłą muszkę, którą prąd wody unosi, „muchę suchą“ przedstawia — muszkę żyjącą, która leciuchno upadła na powierzchnię wody i ma z niej po kilku sekundach z powrotem ulecieć w powietrze. Przy użyciu pierwszego sposobu łowienia, sposobu, którym posługuje się przeważająca liczba wędkarzy w Polsce, posuwamy się w dół rzeki, zarzucamy nieustannie muszkę i puszczamy ją z prądem wody. Łowiąc zaś na muchę suchą posuwamy się zawsze w górę rzeki. Ten sposób łowienia jest do pewnego stopnia trudniejszy, ponieważ muszka nie może ulegać najmniejszemu wpływom ruchu linewki, lub wędziska z chwilą, gdy opadnie na wodę. Pstrągi stoją w wodzie zawsze z łbem zwróconym przeciwko prądowi, czyhając na pożywienie, które może płynąć w ich kierunku albo no powierzchni wody albo w wodzie. Musimy więc podać im to pożywienie w jak najnaturalniejszy sposób. Delikatność, precyzja i lekkość rzutu są nieodzowne przy tym sposobie łowienia. Linewka w żadnym wypadku nie może chlapnąć o wodę, muszka musi opaść na powierzch-

nię wody z lekkością płatka śniegu i spłynąć w kierunku ryby. Gdy zobaczymy skaczącego do muszki pstrąga, nieznacznym ruchem dłoni musimy go zaciąć. O ile jednak przy łowieniu na muchę utopioną ryba, w wielu wypadkach, zaciną się sama, to przeciwnie przy połowie zapomocą muszki suchej, t. j. rzucanej w górę prądu, o sukcesie decyduje niemal wyłącznie zręczność i umiejętność w zacinaniu ryby. Z tego względu łowienie pstrąga na muchę suchą jest więcej zajmujące, niż połów zapomocą muszki utopionej.

Sztuka łowienia pstrąga lub łososia na sztuczną muchę polega ponadto w bardzo znacznej części na umiejętności rzutu. Znamy i używamy kilku sposobów zarzucania muszki na wodę. Przy rzucie zwykłym, używanym wówczas, gdy za sobą nie mamy żadnych przeszkód w postaci drzew, krzaków, skał itp., musimy nie tylko uważać, aby nie uderzyć po za sobą muszką o ziemię, kamienie, co pociąga za sobą ułamanie lub utratę przynęty, lecz, aby przy powrotnym ruchu linewka za nami była w powietrzu wyciągnięta, gdyż w przeciwnym razie usłyszymy za sobą, jakby strzelanie z bata i po chwili przekonamy się, że straciliśmy muszkę. Jeśli mamy poza sobą przeszkody, używamy rzutu pionowego, jeśli chcemy ominąć przeszkody, znajdujące się w tyle i po bokach, używamy tak zw. rzutu w zwojach. Ruch boczny, rzut omijający prąd, a właściwie przerzut na drugą stronę prądu, rzut przeciw wiatrowi itp., oto różne sposoby umieszczania przynęty na powierzchni wody. Należy jednak pamiętać, że im delikatniej, im pewniej, im celniej, a równocześnie im dalej potrafimy zarzucić muszkę tem pewniejsze i obfitsze osiągniemy rezultaty połowu. Są to więc te same elementy, które odgrywają zasadniczą rolę w strzelaniu, a więc szybkość, dalekość i celność strzału. Również i z tych względów można więc nazwać wędkarstwo muchowe raczej myśliwstwem niż z rybolówstwem.

Poznajmyż jednak na żywych a charakterystycznych przykładach ten niezwykły urok, tkwiący w wędkarstwie muchowym. W dalszych opisach poprowadzę czytelnika nad górską rzekę i przejdę kolejno w naturalnym porządku wszystkie epizody tego sportu, a mianowicie połów pstrągów, walkę z królewskim miszkańcem naszych wód, łososiem, oraz jesienne łowy na lipienia. Każdy z owych epizodów sam przez się roświatli może nam wszystko, co trzeba, ukaże nam to wszystko w sposób nie tak ścisły, ale za to może żywszy i owocniejszy.

(D. c. n.).

Bronisław Romaniszyn



Wyjazd na łowy



# Czy spinning na wodach pstrągowych jest metodą sportową?

Dużo mówi się ostatnio na łamach WW o połowie ryb łososiowatych.

Mnie w tym wypadku interesuje głównie pstrąg, jako ryba tego gatunku najczęściej spotykana.

Autorzy artykułów podzielili tu wędkarzy pstrągowych na 2 zasadnicze grupy: wędkarzy-sportowców i tzw. „głiździarzy“.

Sportowiec, to ich zdaniem wędkarz posługujący się wyłącznie muchówką, głiździarz zaś, to typ nie różniący się zasadniczo niczym od wędkarza nizinnego, posługujący się żywą przynętą, dżdżownicą.

W żadnym z artykułów jednak nie mówi się (za wyjątkiem kilku nie znaczących zdań) o metodzie spinningowej i czy metodę tę zaliczamy do sportowych, czy pseudosportowych metod połowu pstrąga.

W niektórych Towarzystwach Wędkarskich Polski, łowienie pstrąga na błystkę jest zabronione na równi z łowieniem na żywą przynętę.

Na ten temat właśnie chciałbym napisać kilka słów.

Łowienie na sztuczną muchę dlatego nazwane jest „metodą sportową“, ponieważ do połowu używamy tu sztucznej przynęty.

W wypadku, gdybyśmy użyli muchy naturalnej (nawet martwej) wchodzimy już w kolizję z regulaminem, który zabrania połowu pstrąga na żywą przynętę.

Czym jednak różni się doskonała, angielska sztuczna mucha od naturalnej, trudno doprawdy powiedzieć. Chyba tylko tym, że tą drugą trzeba bezustannie zmieniać, podczas gdy pierwsza wystarczy na długi okres czasu. Nie wchodzi tu również w rachubę możliwość dręczenia zwierząt (w wypadku nabicia muchy na haczyk), gdyż na wodach nizinnych nie stawia się temu żadnych przeszkód.

Nie pozostaje chyba nic innego, jak tylko sztywny paragraf.

Inaczej przedstawia się sprawa z błystką. Błystka, jakkolwiek jest jeszcze bardziej od muchy „sztuczna“ przynętą, w większości regulaminów wędkarskich wykluczona jest z szeregu „przynęt sztucznych“. Zapytuję dla c z e g o?

Spinnig jest po muchówce najpiękniejszą metodą wędkarską. Spinningista na równi z wędkarzem muchowym musi przechytrzyć rybę, musi zmusić ją do zaatakowania s z t u c z n e j przynęty!

Niektórzy wędkarze twierdzą, że przyczyną zakazu łowienia metodą rzutowo - obrotową

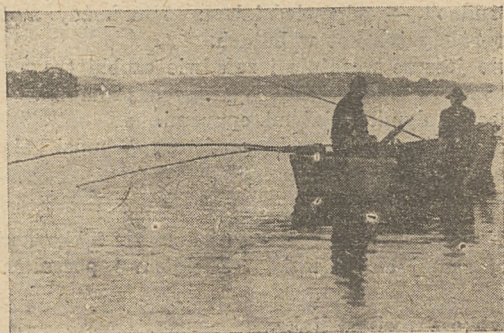
jest jej wielka opłacalność. Inni zaś, że kotwiczka błystki kaleczy bardzo rybę, która w następstwie niezdolna jest do dalszego życia. Lecząc moim zdaniem, ani jedno, ani drugie przypuszczenie nie jest słuszne.

Co do opłacalności spinningu to powiem raczej, że stoi on mniej więcej na jednej platformie z metodą muchową. To, że wędkarz muchowy wraca niekiedy z próżną torbą, a spinningista z bogatym połowem, nie świadczy jeszcze aby spinning był lepszy od muchy. Dziś tak, a jutro inaczej! Jest to normalny objaw „humoru“ ryb, które, jak powszechnie wiadomo, zawsze „na coś biorą najlepiej“.

„Raz pod wozem, raz na wozie“, to przysłowie, które można znaleźć duże zastosowanie w wędkarstwie.

Ponadto spinning posiada zasadniczą cechę dodatnią: mianowicie spinningista przez odpowiedni dobór błystki, może ograniczyć ilość złowionych ryb niewymiarowych. Przy metodzie muchowej jest to prawie że niemożliwością. Dla przykładu przytoczę fakt złowienia przez kol. M. na rzece Łekawce k. Żywca 72 sztuk pstrągów i lipieni w przeciągu kilkunastu godzin. Rezultat wspaniały.. gdyby nie to, że ponad 90% złowionych ryb nie przekroczyło nawet 20 cm. długości. Fakt, przy użyciu odpowiedniej wielkości błystki, nie do pomyślenia.

Drugi zarzut stawiany spinningistom to zbyt nie kaleczenie ryb. Niewątpliwie, użycie błystki kaleczy niejednokrotnie rybę więcej aniżeli sztuczna mucha, nigdy jednak nie zdarza się, aby kotwica tkwiła poza partiami kostno-szkieletowymi pyska. A gdyby nawet tak nie było, to, jak już wspomniałem, zredukowanie do minimum złowionych ryb niewymiarowych sprawi, że szkody tym wyrządzonej, będą o wiele mniejsze, aniżeli przy stosowaniu sztucznej



Fot. Z. Drzewicki



muchy, (która często lubi tkwić w najwrażliwszej części pyska: podniebieniu).

Miałem sposobność ostatnio łowić pstrągi w Polanicy - Zdroju, w malowniczej rzece Zielonej Bystrzycy. Ponieważ Towarzystwo Wędkarskie „Pstrąg” w Kłodzku, nie stawia żadnych przeszkód spinningistom, więc cały czas łowiłem tylko na błystkę. Próżno nie wracałem nigdy, ale nie jest to zasługa błystki, tylko Zielonej Bystrzycy, która jest rzeką wyjątkowo rybną. Nadmiernych rezultatów jednak nigdy nie osiągałem.

Inaczej miała się sprawa z „gliździarzami”, którzy mimo zakazu tłumnie oblegali rzekę. Mały deszcz, gdzieś w górze, w Dusznikach, był już powodem tak bogatych połowów, że aż serce się krajało na widok tych ryb, które bez względu na wymiar znikwały w torbach „wędkarzy”.

Spotkałem tam również kilku zwolenników muchówki. Rezultaty ich była zawsze podobne do moich.

Tak mniej więcej wszędzie, w każdym terenie wyglądają te trzy metody łowienia pstrągów. I dlaczego w takim razie błystka jest potępiana? Dlaczego raczej nie zwraca się baczniejszej uwagi na pseudo - wędkarzy, łowiących pstrągi na dżdżownicę? Towarzystwo Wędkar-

skie w Kłodzku oceniło należycie dobre i złe strony spinningu na wodach pstrągowych. Oceniło spinning jako metodę sportową, stojącą na równi z muchówką.

Dlaczego inne Towarzystwa nie idą za tym przykładem, zmuszając swych członków, nie dysponujących przeważnie należytym sprzętem, do łwienia na sztuczną muchę?

Czyż można sobie wyobrazić jakie takie powodzenie ze sztuczną muchą, mając do rozporządzenia tylko ciężkie, gruntowe wędzisko?

Przez cały czas mego pobytu w Polanicy nie spotkałem żadnego wędkarza łowiącego na błystkę. Gdyby zaś spinning był metodą, aż tak opłacalną, że zachodziłaby potrzeba wyłączenia go spod nazwy „metoda sportowa”, to niewątpliwie wszyscy Polanicy gliździarze, wychodzący tylko na zysk, natychmiast zaczęliby łowić na błystkę.

Na zakończenie pytam jeszcze raz: dlaczego?

Dlaczego lekceważy się błystkę przy połowie ryb łososiowatych?

Dlaczego spinning uważa się za metodą nie sportową?

D l a c z e g o ?

TADEUSZ PATAN

## DUŻY KLON

### Część druga ZWYCIĘSTWO

Niedługo trwał nasz milczący pochód.

Scieżka, skręcając do rzeki, prowadziła przez las do przejścia na drugą stronę.

Przejście to było karkołomne. Jedno z ogromnych drzew podmyte wodą obaliło się w poprzek rzeczki, tak że jego czub oparł się o brzeg przeciwległy.

Profesor wstał na gładki i śliski od rosy pień tak, jak gdyby to była parkietowa podłoga. Lekko przytrzymał się gałęzi, podparł się i już był na drugiej stronie.

Mnie to zajęło znacznie więcej czasu, to też zniecierpliwiony profesor prawil uszczypliwie uwagi pod moim adresem.

„Trudno” — odpowiedziałem. Nie każdy może być tak zgrabny jak kot w butach.

Było jeszcze wcześniej i zaledwie czubki traw zaczęły obysychać pod wpływem słonecznych promieni.

Rzeczka dymiła białymi oparami.

No, magistrze, — rzekł profesor, — musi się pan zrehabilitować.

Trzeba tutaj spróbować.

Ołów spadł na dno, linka napięła się lekko i nieomal w tej samej chwili zwisła. Zaciąłem i poczułem silny opór.

Szybko skróciłem linkę.

Pod powierzchnią wody, jak srebrny talerz, zalśnił szeroki bok ryby i po chwili ruchem ślizgowym, wyrzuciłem na trawę sporego klona.

Tak się zaczęły łowy tego dnia...

Gdzieś koło południa, zacząłem się powoli rozglądać za towarzyszami.

Z profesora ani śladu. Już dawno opuścił mnie, marszerując wzdłuż brzegu w kierunku północnym.

Wiedziałem, że gdzieś w pobliżu musi być Franio. Zacząłem go wypatrywać.

W pewnej chwili, gdy wychodziłem spoza sporej kępy, ujrzałem Frania. Szedł on w tym samym kierunku co i ja tylko znacznie wolniej.

W niedługim czasie, znalazłem się w pobliżu Frania. Wybrał on sobie piękne, szerokie i głębokie rozlewisko i przycupnąwszy na spadzistym brzegu wpatrzył się w czerwoną rzodkiewkę spławika. Czarna duża jego głowa, profil potężnego nosa i ciemne oczy, dziwnie upodabniały go do siedzącego nieruchomo kruka.

Franio nie lubił eksperymentów z bezspławikowym łowieniem, choć wyznawał się na nim znakomicie. Szukał on miejsc spokojniejszych i tam oddawał się kontemplacji, wpatrując się godzinami w swój ulubiony spławik.

No, jak tam, panie Franiu? — zapytałem.

W porządku — odpowiedział, nie odwracając głowy. Straciłem najlepszy czas nad tą czarną wodą, niedaleko ujścia. Ale tam „trupiarnia”. Po drodze złowiłem klonka i dwa okoniki, a tutaj jeszcze jednego niebrzydkiego klonika.

„Duży?” — zapytałem, sadowiąc się obok Frania.

Dość duży! Ma może kilo piętaście — rzekł Franiu ze zwykłą sobie dokładnością.

A pan co ma?

Cztery sztuki — odpowiedziałem.



# Jak złowiłem 12 kg. szczupaka

Dzień był pogodny i ciepły, więc postanowiliśmy z żoną i córką wybrać się na zapórę, do Złotnik (koło Gryfowa Śl.), więcej dla zaczerpnięcia świeżego powietrza i zażycia ruchu, niż „na ryby”.

Wsiedliśmy na kajak we trójkę i po odpłynięciu od brzegu, oddałem wiosło żonie, sam zaś zarzuciłem błyszczyk (8 cm typu Heintza, mosiężny) na żyłce (nr 8), której miałem na kołowrotku 40 metrów i zacząłem ciągnąć błysk za kajakiem.

Po wysnuciu ca 15 metrów błystka napotkała na opór. W przypuszczeniu, że zaczepiłem o jakąś przeszkodę, leżącą na dnie lub o szuwar (w tym miejscu głębokość wynosiła 3—4 m), poprosiłem żonę o zaprzestanie wiosłowania i na prężyłem żyłkę, chcąc błystkę oderwać od zaczepu.

Niemale moje zdziwienie wywołało nagłe szarpnięcie żyłką.

Nie liczyłem się dotąd zupełnie z możliwością złowienia ryby w tak szybkim czasie i tak bliskiej odległości od brzegu.

Nie chciałem jeszcze wierzyć, że „coś już wzięło”.

Dobre i to — skonstatował Franio, a potem patrząc na mój wyrzut wędką dodał: — trzeba było bliżej ujścia tej dziury. Niech pan zarzuca zawsze przy ujściu, nigdy na środku.

Następnie wydobyliśmy z plecaków nasze zapasy i po krótkim posiłku, oddaliśmy się błogiej drzemce.

Ocknałem się pierwszy.

Wkrótce obudził się i Franio.

Rozpoczęliśmy dalsze łowy, idąc razem i zarzucając na zmianę.

Złowiliśmy jeszcze po trzy klony. Siatki zaczęły nam już ciążyć.

Powoli zbliżał się wieczór. Coraz częściej, brzęcząc przelatwały nad nami chrabąszcza.

Gdzieś na horyzoncie zarysowała się długo chuda sylwetka profesora.

W pewnym momencie, gdy Franio zasiadł na dobre przy jednym ze spokojniejszych zakol, ja poszedłem dalej i niedługo potem byłem na drodze, prowadzącej ku wywróconemu drzewu, nad rzeczką.

Cel był jasny. Zdała już widać było, górującego nad całym otoczeniem, olbrzymia.

Będąc całkiem blisko tego ogromnego drzewa, przystanąłem, aby nałożyć na haczyk nowego chrabąszcza. Potem cicho, na palcach, podkrađłem się do brzegu.

W odległości kilku metrów od jego krawędzi, zgąziłem się do samej niemal ziemi i wysunąłem wpród wędzisko. Dalej podpełzałem na czworakach, aby, nie wychylając głowy, wysunąć powolutku nad wodę dwa pierwsze składy wędziska. Następnie wzięłem do lewej ręki ołowiane paciorki i balansując chrabąszczem, płynnym ruchem, rzuciłem go wraz z ołowiem, przeciw prądowi, pod zwisającą kopułę dębu.

Rzut udał się znakomicie.

Wpatrzony w końcówkę, leżałem na brzuchu.

Odpowiedziałem jednak ze swej strony szarpnięciem i... zaczęło się. Po chwili poczułem, że to „coś”, nie licząc się z wytrzymałością żyłki, usiłuje odpłynąć w kierunku środka jeziora, gdzie głębokość dochodzi do 10 m.

Naturalnie złagodziłem napięcie żyłki dalszym jej odwinieniem.

Po ustaniu ruchu ryby, rozpocząłem kontratak, i unikając nagłych szarpnięć, usiłowałem zwiększyć zapas linki na kołowrotku. Równocześnie zacząłem oglądać się za brzegiem odpowiednim do holu. Na szczęście ujrzałem go niedaleko.

Rozwijanie przetrzymywanej ciągle przeze mnie żyłki przez rybę i powolne ściąganie tejże w kierunku wybranego miejsca trwało przeszło pół godziny, po czym szczęśliwie — przy współudziale żony — dobiliśmy do brzegu, mając na kołowrotku około 15 metrów zapasu.

Wobec tego, że brzeg w tym miejscu nie był stromy i łagodnie opadał, zacząłem zaraz skraćć żyłkę, aby nareszcie zobaczyć przeciwnika.

Udało mi się to po kilku minutach spokojnego i równego zwijania żyłki.

Sekundy upływały. Wokoło było cicho. Słychać było tylko szum wody pod urwiskiem.

Były to długie chwile oczekiwania, dużej emocji.

Zrobiłem, jak dotąd, wszystko bez zarzutu, ale czy weźmie mój klon po raz drugi?

Gdy tak trwałem w napięciu, linka naraz zwiotczała i opadła, jak gdyby ją ktoś podciął, tam, w głębi. To ryba ruszyła z dna ciężarek i popłynęła z nim z prądem.

Zaciąłem ostro i uczułem natychmiast ten sam, pulsujący ciężar.

Wędzisko wygięło się w kablak.

Ale tym razem nie forsowałem już ryby.

Gdy napierała zbyt mocno, poddawałem nieco linki z kołowrotka, pomny na liczne wokoło korzenie.

Co więcej, udało mi się delikatnym manewrem skłonić rybę do krążenia wokoło, jak konia na maneżu. Powtórzyło się to kilka razy.

Jednak w miarę trwania, opór ten zaczął słabnąć, a ryba podeszła bliżej, ku powierzchni.

Tak, to był mój klon, duży potężny klon! Miał grubo, szeroki grzbiet i był prawie tak długi jak ramię. Z góry wydawał mi się wprost ogromny.

Trudno go będzie wydobyć kacerkiem, który przeznornie położyłem pod ręką, pomyślałem.

Ale, jak tu wogóle użyć kacerka, gdy brzeg urywa się pionowo nad wodą. Trzeba to jakoś urządzić inaczej.

Prowadząc w kółko mojego klona, zacząłem się rozglądać. O kilkanaście kroków, z prądem wody, było zejście do brzegu. Strome, bo strome, ale było.

Wyczuwając, że klon osłabł już dostatecznie, podciągnąłem go ku powierzchni tak, że szeroko rozwartym pyskiem zaczerpnął powietrza. Natychmiast, zgodnie z



W odległości ca 8—10 metrów ujrzałem, przez tafłę spokojnej wody, olbrzymie cielsko szczupaka.

Ujrzała go również żona, która zdenerwowana tym widokiem oświadczyła: „szkoda twojego trudu, tą żyłką go nie wyciągniesz!” i nie chcąc być świadkiem mojej przegranej — odeszła wzdłuż brzegu.

O kilka kroków ode mnie stała moja 9-letnia córka, która od czasu do czasu wypowiadała głośno swoje uwagi w rodzaju: „takiego jeszcze nie złapałeś!”, „dlaczego go nie wyciągniesz?“, „Tato, dlaczego tak stoisz?“ itp.

Po kilku chwilach zdecydowałem powoli dalej ciągnąć. Nawinałem może metr i sam wszedłem na spotkanie szczupaka w ubraniu do wody. Ten jednak nagłym skrzętem odwrócił się ode mnie i odpłynął szybko w kierunku środka jeziora. Straciłem go z oczu i znów poszło około 20 metrów żyłki z kołowrotka.

Czułem go jednak ciągle na wypuszczanej przez zaciśnięte palce żyłce.

Co robić? Szkoda takiej sztuki!

Wtedy wpadłem na pomysł. Nakłoniłem żonę, by bardzo wolno i równomiernie związała żyłkę z brzegu, sam zaś wszedłem do wody, jak najdalej tylko mogłem i stojąc nieruchomo, przy przesuwającej się wolno obok mnie żyłce, czekałem na przeciwnika.

dziwną naturą tej ryby, znieruchomiał w prawie pionowej pozycji.

W tej pozycji, utrzymując go stałe, zacząłem go prowadzić w dół rzeki. Musiałem cały czas pilnie baczyć, aby nie więcej jak tylko koniec pyska był ponad wodą. Większe podciągnięcie oznaczało niemal niechybne zerwane ryby. Zwolnienie było równoznaczne z nabraniem przez nią nowych sił do walki. Był to dziwny marsz, krok za krokiem, z okiem zwróconym na ścieżkę, z której, aż nazbyt łatwo mogłem zboczyć wprost do wody.

Wreszcie znalazłem się nad zejściem, którym zacząłem wolno zstępować ku wodzie. Prawą ręką trzymałem unieruchomiony w palcach kołowrotek, wspierając wędzisko pod pachą. Lewą ręką niosłem kacerkę i asekurowałem nią chwyt ręki prawej.

Mozolne to było schodzenie. Wreszcie stanąłem nad wodą na wystarczającym występie, mając tuż pod nogami strumień żywo płynącego nurtu. Powoli skróciłem linkę kołowrotka. Jak tu jednak dosięgnąć kacerkiem klona od którego dzieliło mnie swą długością wędzisko? Muszę go dostać bliżej do siebie.

Zacząłem, wolno, przebijając palcami, wysuwać wstecz za siebie wędzisko. Nie mogłem go zbyt pionować bez obawy pęknięcia końcówki. To wysuwanie, przy niezbyt sprawnej pomocy ręki lewej trwało dosyć długo. Wznosząc się za moimi plecami brzeg powoadowski, że musiałem pochylać końcówkę coraz bardziej ku wodzie. Ponieważ kołowrotek znalazł się poza mną mogłem skracać linkę jedynie przez podciągnięcie jej palcami.

Wreszcie wydało mi się, że klon jest już dość blisko. Wychylając się karkołomnie nad wodą, sięgnąłem kacerkiem. Niestety, ryba była jeszcze za daleko. Podciągnąłem ją bliżej. Nowa próba. Zbyt mały kacerk i to trzymany przeze mnie za ledwie końcami palców le-

Później dopiero usiłowałem sobie przypomnieć jaka była woda, czy zimna? Szczegół ten uszedł wtedy zupełnie mojej świadomości!

Po 5-ciu minutach ujrzałem kształty ciągniętej ryby. Stałem zupełnie bez ruchu.

A gdy odległość między nami zmniejszyła się do 2 metrów, dałem nurka, chcąc okaz uchwycić ręką pod skrzelą.

Przyznaję się, że miałem porządnego stracha, by przez omyłkę nie włożyć ręki do pyska ryby.

Udało mi się. Czując pod ręką grzbiet ryby, jak najszybszymi ruchami, pociągnąłem ją do brzegu.

Mniej więcej 2 metry od brzegu wwrwał mi się jednak. Na szczęście woda tu już była płytka i takie cielsko nie mogło w niej swobodnie manewrować. Przytrzymałem go bokiem, żona zaś stwierdziwszy przerwanie żyłki, pośpieszyła mi z pomocą, wchodząc też do wody i współdziałając we wtaczaniu rzucającego się szczupaka na brzeg.

Okaz to był niesamowity i wyjątkowo gruby.

Musiałem pożyczyc worek od miejscowego gospodarza, by go przewieźć do domu.

Po komisijnym stwierdzeniu, że ma równo 12 kg i długości 1,15 m, córka stwierdziła dumnie: „a mówiłam ci, że takiego jeszcze nie złowiłeś!”

Karol Świerczewski

wej dłoni podciągnął rybę, jednak ciężarem łba i tułowia przeważała się z powrotem do wody. Był to moment bardzo ryzykowny. Jednak udało mi się podciągnąć ją jeszcze kilkanaście centymetrów ku sobie i raz jeszcze sięgnąć kacerkiem, w momencie, gdy ryba, w ostatnim rozpaczliwym wysiłku próbowała odbić się ogonem i obrócić łbem włąb wody.

Tym razem udało mi się. Uczułem ciężar w siatce. Poprawiłem chwyt na kacerku i za chwilę, cofając krok, za krokiem ku tyłowi wyholowałem rybę z wody.

Jeszcze moment, a byłem z nią na brzegu. Oddychając ciężko spojrziałem na zegarek. Walka z klonem od chwili zacięcia trwała 17 minut. Byłem zmęczony, tak jakgdybym dźwigał na piętro wór pszenicy. Bo też i klon nie był mały. Był on szeroki jak karp, długi jak spory półmisek. Wolno poszedłem do obalonego drzewa. Odepiłem siatkę z rybami, zostawioną tam po drodze i ulokowałem w niej mojego klona. Z wędką na ramieniu, niosąc ryby wracałem powoli do towarzyszy, a dusza moja śpiewała jedną wielką pieśń tryumfu. A towarzysze moi właśnie szli naprzeciw. Profesor z dobrze ładuwaną torbą na ramieniu, Franio z pełną siatką.

„Oho, magister złowił coś sporego“ — rzekł profesor.

„Ma conajmniej dwa kilo“ — dodał Franio, podchodząc z boku.

I nie pomylił się ani o gram. Klon miał istotnie dwa kilogramy.

Byłem dumny i szczęśliwy.

Za chwilę wracaliśmy już do stacji kolejowej.

Przed nami majaczyła na niebie nieśmiało pierwsza gwiazda, za nami gęstniały mgliste cienie fioleto.

ROMAN JACKOW



# Mój zestaw

Wiadomo powszechnie, że do miejsc połowu na przepływankę, gdzie przy nęcie zbiera się duża ilość drobnicy, podchodzi również ryba drapieżna, jak szczupak, sandacz i okoń. Stawianie więc gruntówki z żywcem daje nieraz dobre wyniki.

Przekonałem się jednak, że bardzo często branie jest spudlowane. Kołowrotek zawarczy, wyciąga się wędkę i okazuje się, że żywiec ma okaleczenia w okolicy ogona.

Wyraźny to znak, że atakowany był przez sandacza, który puścił przynętę, nie zahaczając się o umieszczony przy pyszczku żywca haczyk.

Inny raz żywiec bywa zerwany.

Stwierdziłem również, że przy normalnym zestawie gruntówki żywiec bardzo często chroni się pod kamienie lub ostatecznie spokojnie leży na dnie i nie przedstawia zbyt frapującej przynęty. Bardzo pręko śnie, a wtedy w ogóle trudno myśleć o jakimkolwiek wyniku.

To wszystko nasunęło mi myśl sporządzenia takiego zestawu, aby odpowiadał następującym warunkom:

- 1) rybka nie leżała na dnie, a znajdowała się na pewnej wysokości,
- 2) zestaw haczyków posiadał odpowiednią chwytność, przy dowolnym chwycie drapieżcy i
- 3) rybka była martwa, tak ze względów humanitarnych, jak i dla wygody wędkarza, który unika przeto stałej zmiany przynęty.

Zaznaczam, że myślałem o zestawie, który można byłoby zastosować na bieżącej wodzie.

Paternoster i uproszczony systemik Pennell'a i Bromley'a dawały mi rozwiązanie.

Należało jedynie przemyśleć i zbadać w praktyce szczegóły zestawu.

Pierwsza próba dała nadspodziewane wyniki. Miałem trzy brania i upolowałem 2 sandacze i okonia (początek lipca).

Stwierdziłem jednak pewne niedociągnięcia w zestawie, co powodowało częste platanie się żyłki przyponowej z żyłką, do której umocowany był ciężarek.

Usunąłem tę usterkę przez zastosowanie sztywnego ramiączka z drutu w kształcie trójkąta.

Ten kształt uznałem za najbardziej racjonalny, gdyż przy holu cała siła ryby przenoszona jest przez górne ramię trójkąta, które nie ulega zgięciu, pracując jedynie na rozciąganie.

Zasada zestawu polega na tym, że przypon nie jest przewleczony przez ciężarek, a umocowany powyżej niego, przez co przynęta pod wpływem prądu unosi się na określonej wysokości nad dnem.

Rybka osadzona na systemiku i odpowiednio wygięta pod działaniem tegoż prądu wiruje lub balansuje, roztaczając fascynujące dla drapieżców wodnych błyski.

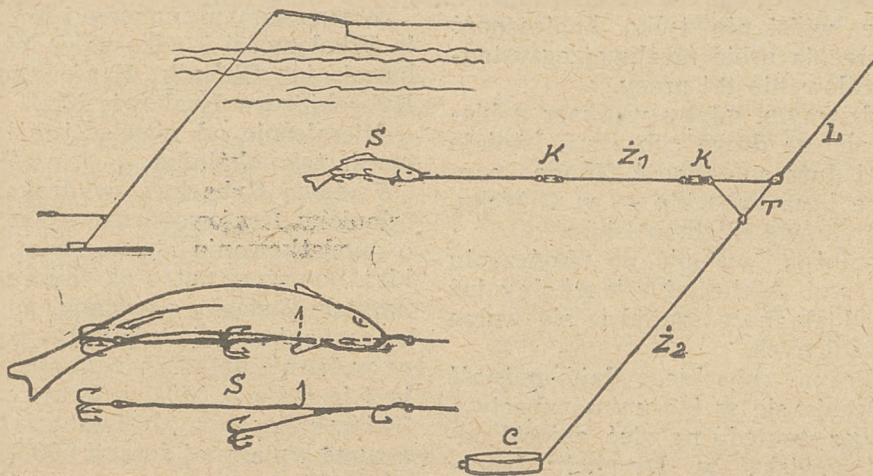
Kotwiczki, umocowane w środku rybki i przy ogonie, zapewniają natychmiastowe zacięcie tak sandacza, który atakuje przynętę od ogona, jak i szczupaka, chwytającego rybę wpół.

Bezwzględnie niezbędnym szczegółem jest zastosowanie dobrze obracających się, małych lecz mocnych karabinków: jednego przy ramiączku, drugiego przy przyponie. Kotwiczki niezbyt duże nr 8—9. Ciężarek płaski o wadze, uzależnionej od siły prądu.

Poniżej podaję schemat zestawu oraz jego szczegóły.

Zakładanie rybki wyjaśnia F. Choynowski w podręczniku „Wędkarstwo na wodach polskich” na stronie 196 (pierwsze wydanie), rysunek 128.

Za najbardziej odpowiednią przynętę uważam średniej wielkości uklejkę, ze względu na jej wydłużony kształt oraz intensywność błysków srebrzystej łuski.





- S — systemik haczyków na stalowym miękkim przyponie  
 K — karabinki  
 T — trójkąt z drutu (ramiączko)  
 L — linka do wędziska  
 Z<sub>1</sub> — żyłka przyponowa  
 Z<sub>2</sub> — żyłka ciężarkowa  
 C — ciężarek płaski

Obecnie, łowiąc na żywym prądzie, często używam tego zestawu i jestem w zupełności z niego zadowolony, i nie miałem dotąd, ani jednego „pudła“.

Oczywiście, że nie należy ten sposób połowu do metod czysto sportowych, co zresztą można powiedzieć o wszystkich innych gruntówkach, lecz jako środek do usuwania, płoszących białą rybę, drapieżców jest niezawodny.

Pragnę więc na łamach naszego pisma podzielić się z kolegami wędkarzami wyżej opisanym zestawem, aby w nadchodzącym sezonie jesienno-mogli go wypróbować i życząc połamania wędzisk, czekam na wypowiedzenie się o jego skuteczności.

Inż. arch. A. Żdanko

## Jakie korzyści daje ukończenie liceum rybackiego

Skutkiem nieprzychylnych dla nas okoliczności dopiero dzisiaj możemy podzielić się z czytelnikami Wiadomości Wędkarskich podanymi niżej myślami. Jest to grubo zapóźno, ale w myśl zasady — lepiej późno niż nigdy — piszemy.

Wędkarz, uprawiający swój umiłowany sport, przywiązuje się do ryb, interesuje się nimi, zaczyna je kochać. Wygląda to na paradoks — wędkarz kocha rybę, a jednocześnie łowi ją, zabija ją — i to nie dla potrzeby zaspokojenia głodu, a tylko dla zaspokojenia swej namiętności. A jednak tak jest. Wędkarz poznaje rybę, jej sposób życia, jej upodobania. Coraz bardziej rozszerza skalę swego zainteresowania. Interesuje się nie tylko tymi gatunkami, które ma sposobność łowić, ale i wszelkimi innymi.

Często zamilowanie do ryb i do wędkarstwa przechodzi na młode pokolenie. Toteż nie byłoby dziwnym, gdyby odziedziczone przez młode pokolenie po swoich ojcach upodobanie do tego wszystkiego, co dotyczy ryb, zostało potraktowane poważniej. Nie tylko jako upodobanie sportowe, ale jako podstawa do przyszłej pracy zawodowej. Wszak ten człowiek jest najczęściej młodszym człowiekiem, kto, w obranym przez siebie zawodzie, widzi nie tylko konieczność pracy dla stworzenia sobie możliwej egzystencji, ale i ma umiłowanie tej pracy.

Nie byłoby dziwnym, gdyby wędkarz pokierował syna swego na drogę rybactwa. Istnieje ku temu dzisiaj duża sposobność. Znane nam są 3 państwowe licea rybackie — w Giżycku, Krakowie i Sierakowie Wielkopolskim.

Do liceum można wstąpić po ukończeniu szkoły podstawowej. A chociaż rok szkolny już rozpoczął, to jednak może znajdzie się wolne miejsce dla opóźnionych.

Ukończenie liceum rybackiego daje możliwość dalszego kształcenia się w kierunku rybactwa, daje możliwość, bez względu na płeć, zajęcia odpowiedniego stanowiska w Dyrekcji Lasów Państwowych, w Państwowych Gospodarstwach

Rolnych lub Administracji Ogólnej, — daje możliwość objęcia kierownictwa zespołów wędrownych, — wreszcie objęcia różnych stanowisk w Państwowej Centrali Rybnej, w stawiarnictwie lub hodowli. A przede wszystkim daje możliwość pracowania w dziedzinie tak nas wszystkich wędkarzy interesującej, jaką są ryby.

Niech tą drogą następuje zbratanie wędkarstwa z rybactwem.

W. C.

## Wyjaśnienie

W Nr 7 Wiadomości Wędkarskich w dziale z życia Związku i Towarzystw Wędkarskich przez przeoczenie, spowodowane okresem ulopowym, zamieszczono niewłaściwie utwór, zawierający orientacyjne obliczenie ewentualnej objętości kalendarza wędkarskiego. Obliczenie to jest jedynie materiałem dla dyskusji na terenie Zarządu Związku. Zarząd Związku w sprawie wydania kalendarza wędkarskiego dotąd nie powziął żadnych decyzji.

W tym stanie rzeczy cały ustęp, dotyczący kalendarza wędkarskiego należy uważać za niebyły.

W tym samym numerze i w tym samym dziale Wiadomości Wędkarskich podano w pełnym brzmieniu Okólnik Krajowego Towarzystwa Rybackiego w Krakowie Nr 2.

Niezależnie od niewłaściwej formy zamieszczenia tego okólnika, — w części zatytułowanej „Wystawa Rybacka“ wydrukowano apel do członków Krajowego Towarzystwa Rybackiego o opodatkowaniu się na rzecz wystawy rybackiej. Powyższy ustęp okólnika został na żądanie Zarządu Związku odwołany, ponieważ fundusze na zorganizowanie tej wystawy zostały przyznane w formie dotacji przez zainteresowane resorty i instytucje. Między tymi ostatnimi figuruje Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich z sumą wpłaconej dotacji 500.000 zł.

Zarząd Związku



## Do Redakcji

Redakcja Wiadomości Wędkarskich

W a r s z a w a

Mokotowska 46 m. 17

Czcigodnemu Koledze, Nestorowi Wędkarstwa polskiego, autorowi książki „Wędkarstwo na wodach polskich“, ślemy szczerze zapewnienia, że długoletnią pracę Jego włożoną do skromnej literatury wędkarstwa polskiego doceniamy w całej pełni.

Śmiemy twierdzić, że nie tylko my, ale i ogół Kolegów wędkarzy łączy się z nami.

Serdeczne podziękowania przesyłamy za uprzejme ustosunkowanie się do naszej prośby i opatrzenie dedykacją zakupionych przez nas egzemplarzy **WĘDKARSTWO NA WODACH POLSKICH**.

Łączymy wyrazy szacunku i kreślimy się z wędkarskim pozdrowieniem.

*Zarząd i członkowie*

*Tow. Miłośników Sportu Wędkarskiego  
w Chrzanowie.*

*Sanak Zygmunt*

*Emich Stanisław*

*Moeser Bogusław*

*Chrol Józef*

*Pierwocha Stefan*

*Chodorowski Zygmunt*

*Banaszkiewicz Kazimierz*

*Pilch Franciszek*

*Palka Jan*

## Wygląd zewnętrzny i zachowanie się wędkarza

Znajdujemy się u schyłku sezonu wędkarskiego.

Tu i owdzie słyszy się o gorączkowym przygotowywaniu sprzętu, uzupełnianiem braków.

W tych właśnie chwilach zastanowić się musimy, czy swoim zachowaniem lub wyglądem nie oszpecimy piękna przyrody, w czasie naszych wycieczek na łowy wędkarskie.

Tu muszę zaznaczyć, że mam zwyczaj obserwować wędkujących.

I oto np., kiedyś spotkałem wędkarza starannie odzianego, siedzącego nad brzegiem rzeki. Wokół niego porozrzucone były sterty papierów, zmieszanych z przyborami wędkarskimi, resztkami jedzenia. Nad nim powiewała marynarka, zawieszona na kijkach podrywki, zapewne, aby uchronić go od promieni słonecznych.

Kiedwindziej spotkałem nad wodą wędkarza, jak siedł, wlokąc za sobą koc, uwiązany niedbale do niezasnuwanego plecaka. Przez ramię miał przerzucone wedziska, na w pół owinięte w strzep płachty wojskowej i zawieszzone na kawałku sznurka. U lewego jego boku zwiślało przytroczone do pasa składane krzeselko, koły-

zące się w takt jego kroków. Miarowe pobrękiwanie blaszanych naczyń, zawartych w plecaku, zdaleka sygnalizowały jego zbliżanie się.

Wiemy doskonale, że nie każdego stać na luksusowy ekwipunek, ale tym nie mniej muszę wytknąć wielu kolegom-wędkarzom, że zbyt małą uwagę zwracamy na nasze zachowanie się nad wodą w terenie i przez to wyrządzamy dużą krzywdę naszej sprawie wędkarskiej.

M. Postół

## Już pracłowiek jadał rybę

Przed niedawnym czasem poczynione zostały w Kolińsku, (Czechosłowacja), cenne odkrycia archeologiczne w odpadkowych dołach kopalnianych.

Na podstawie tych wykopalisk da się wywnioskować, że mięso rybie było powszednim pokarmem człowieka zamierzających czasów.

Zostało także stwierdzone, że już wówczas używano do łowienia ryb wędek i sieci.

Haczyki były wykonywane z rogu jelenia, a w późniejszych czasach z brązu.

Jak wielkie w tych czasach łowiono ryby świadczy znaleziony hak w m. Okruhlik, który był wykonany z rogu jelenia i miał długości 14 cm.

Haczyk wykonany z brązu odkopano w Kolińsku i miał on długości 5 cm. Służył widocznie do połowu mniejszych okazów ryb.

W Kolińsku znaleziono dobrze zachowany sprzęt rybacki z czasów starożytnego Rzymu.

Nadesłał

J. Nowotny

## S. O. S...

Powiatowe Towarzystwo Wędkarskie w Łowiczu donosi inam, że „że od wielu tygodni pojawiły się na obwodach 8, 9, 10 i 11 rzeki Bzury masy zatrutych ryb, jak: węgorze, leszcze, karpie, szczupaki, okonie, karpie, miętusy i inne.

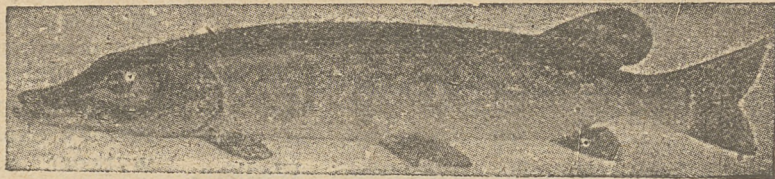
U zatrutych ryb da się zauważyć najprzód osłabienie i zupełny zanik krwinek w skrzelach, co w rezultacie powoduje ich śnięcie.

Według przypuszczeń członków wyżej wym. Towarzystwa, „powodem masowego zatrucia ryb są ścieki, odprowadzane do Bzury przez cukrownie Leśmierz i Dobrzelin, po czym wyrządzają nieobliczalne szkody dla gospodarki narodowej, gdyż już dwukrotnie w latach 1947 i 1948 zatruiły wodę, na co zostały spisane odpowiednie protokoły“.

Mamy nadzieję, że odpowiednie czynniki wkroczą w tę sprawę i zapobiegą na przyszłość dalszym stratom w rybostanie, a Zarząd Z. S. T. W. wykorzysta tę wzmiankę i spowoduje jak najszybsze przeprowadzenie dochodzenia, celerą wykrucia istotnych powodów zatrucia ryb w rzece Bzurze.



# ŻARŁOK



## Torfowisko

Torfowisko było stare i od lat opuszczone.

Patrząc na nie z lotu ptaka, przypominało swym wyglądem szereg rozmaitej wielkości kałuż, połączonych ze sobą małymi strumykami lub wąskimi rowami.

Zbiorniki te wody przedzielały wyspy, obficie porośnięte sitowiem i soczystą zielenią drobnej trawy, wabiącej kusząco przechodnia, poszukującego łatwego przejścia.

Biada jednak temu, kto nieopatrznie postawił stopę na takiej wysepce!

Pod wpływem ciężaru ludzkiego ciała, z silnym bulgotem, wysepka zapadała się w głąb bagna, z którego nie wielu udało się szczęśliwie wydostać.

Wody przybrzeżne zamieszkiwały końskie piawki i ślimaki.

Dno torfowiska było pokryte roślinami, tworzącymi, jak gdyby „lasy iglaste“, poprzecinane z rzadka polanami.



Dwa piękne okazy o wadze 9 kg 70 dk, złowione przez kol. T. Radwańską, czł. Warszawskiego Towarzystwa Wędkarskiego

Na skraju tej „puszczy“ zieleniły się gaje turzycy i skrzypu.

Bujna ta roślinność z roku na rok powiększała swój stan posiadania, grożąc wypłyceniem torfowiska.

Nigdy nie brakowało mu dotąd pożywienia.

Tu z konieczności musiał zaspokajać swój głód piskorzami i małymi karaskami.

Jezioro nawet w czasie surowych zim nigdy nie zamarzało na całej powierzchni. Ołwrotnie torfowisko już z początkiem grudnia pokryte było w całości lodem, który ustępował dopiero z końcem miesiąca marca.

Toteż w tym nowym otoczeniu w okresie zimy boleśnie odczuwał brak tlenu, który pochłaniany był przez procesy gnilne obumarłych roślin.

Obok więc potrzeby zaspakajania głodu zjawiała się druga nie mniej ważna niż pierwsza — potrzeba ratowania się przed uduszeniem — konieczność odnalezienia wody, zawierającej dostateczne dla życia ilości tlenu.

Niezawodny instynkt kazał mu szukać promieni świetlnych, przenikających przez małe otwory w lodzie w miejscach, gdzie wyrastał kosaciec.

Zatrzymywał się chętnie obok tych roślin, które jak gdyby swymi lodygami ogrzewały i stapiały lód, tworząc małe szczeliny.

W tych właśnie miejscach tylko było tlenu pod dostatkiem.

Oto po krótko najistotniejsze przyczyny z powodu których Żarłok stał się ociężały, gnuśny i większość swego czasu spędzał w bezruchu na dnie torfowiska.

Zabrakło wkrótce piskorzy i karasi. Przez jakiś czas napelniał swój żołądek jedynie ślimakami i małżami.

Należało więc szukać gdzie indziej pokarmu.

Skierował się do najbliższego rowu i tam ryjąc w miękkim łąle natknął się na grube liny.

Przed tym, gdy żył w jeziorze nie znał smaku ich mięsa, gdyż nie zwracał uwagi na te oliwkowo-zielone ryby.

Tu z jaką rozkoszą ucztował wśród nich, jak za poprzednich, dobrych czasów.

Z nastaniem wiosny zmieniał się jadłospis „Żarłoka“ i stawał się bardziej urozmacony.

Chwytał wtedy przepływające obok zaskrońce, myszy, szczury wodne i polował na żaby.



A gdy nastalo lato, po wytrzebieciu wszystkiego, co bylo mozliwe do przełknięcia, przenosil się do drugiego zbiornika wody.

Wędrówki te odbywał rowami lub nawet przeskakiwał przez małe groble, przenosząc się kolejno z jednej wody do następnej.

Pozostawanie w jednym miejscu groziło mu śmiercią głodową, a instynkt nieomylnie wskazywał mu najbliższy zbiornik, do którego mógł jednym susem się przedostać.

Pewnego razu, w dość głębokiej odnodze torfowiska, natrafił na liczne siedlisko raków.

Skorupiaki te zamieszkiwały nory w stromych brzegach, opuszczając je tylko wieczorem, kiedy udawały się na żer. Pływały niezdarne, i przeto w braku innej strawy stanowiły łatwą zdobycz dla „Żarłoka“.

Raki niepokoiły jednak szczupaka, zwłaszcza w nocy, kiedy wypoczywał przy dnie bagniska, szczypiąc go i czepiając się jego tułowia.

Przykre sąsiedztwo tych skorupiaków i brak innego jakiegokolwiek pokarmu zniewolił go do dalszej podróży.

Kiedys więc z wieczora, już późną jesienią, gdy mgły okryły białą chustą całe torfowisko, śmignął przez groblę do sąsiedniej wody.

Znalazł tam obfity pokarm w postaci linów, kałasi, małży i ślimaków.

Zapewnione miał kilka miesięcy beztróskiego żywota.

Truda była głębsza i z wiosną pełna żab. Bez trudu więc chwytal te płazy, napelniał swój żołądek kłębami żabiego skrzeku i zaspakajal głód tłustymi kijankami.

Ten jednolity, drobny pokarm miał zgubny wpływ. Żęby „Żarłoka“ wydłużyły się niewspółmiernie, stały się wiotkie i przypominały raczej fiszbiny wieloryba.

W lecie woda w bagnisku parowała silnie, tworząc wieczorem z mgieł, jak gdyby jezioro, zawieszone nad torfowiskiem i przybrzeżnymi trzcinami.

Powyżej tych oparów unosiły się zwarte roje komarów.

Nad nimi kreśliły w powietrzu koła jaskółki.

Wieczorną ciszę przerywał czasem plusk splawiającej się ryby.

Na skraju bagna, wśród roślin, wlokąc za sobą swoje domki, pełzały błotniarki i zatoczki.

Mniej więcej w środku torfowiska pływały perkozy, zdobne w piękne kryzy z piór brunatnych na szyi, o lśniącem białym podbrzuszu.

Na grzbiecie samicy-perkoza, wśród piór jak w wyścielonej kolsce spoczywały dzieci. Tuż przy niej w poszukiwaniu pożywienia nurkował samiec, dzieląc zdobytą pokarm pomiędzy małe ptaszęta.

Falowanie wody i widok pływających ptaków zwrócił uwagę „Żarłoka“.

Podpłynął do nich niespostrzeżenie i niespodzianie zaatakował matkę, wciągając ją w głębi wody wraz z młodymi.

Z całej rodziny ocalał jedynie samiec, któremu udało się na czas odlecieć.

Następnego ranka „Żarłok“ czuł się nie mniej głodny, niż poprzedniego wieczora.

Powoli płynął przy dnie, obserwując bacznie powierzchnię wody. Nieoczekiwanie ujrzał małą wierzchówkę nad którą unosiła się w górze mewa-śmieszka.

Postanowił uprzedzić mewę, lecz i ona nie miała zamiaru zrezygnować z upatrzonej ofiary.

W rezultacie atak z powietrza i z wody rozpoczął się jednocześnie.

Przewidujący „Żarłok“ otworzył paszczę, jak mógł najszerzej i z ławością schwycił naraz rybke i zbyt pewną siebie mewę.

Odtąd coraz większą zwracał uwagę na upierzonego pokarm. Żadnej krzyżowce, czy cyrancy, szukającej schronienia wśród wód torfowiska nie udawało się bezpiecznie wodować.

Chwytał nie tylko dzikie kaczki, perkozy, ale i młode czaple, które pod opieką rodziców pobierały lekcje łowienia ryb.

Męczyło go stale uczucie głodu i zniewalało do szukania nowych ofiar i żerowisk.

Ciężka walka o byt nauczyła go zdobywać pożywienia na przykład tam, gdzie odbywały się zloty ptaków.

Z dnia na dzień powiększała się ilość gatunków jego ofiar. Nie gardził jaskółkami, bekasami lub czałkami.

Kiedys nawet odważył się schwycić za nogi brodzącą, stara czaple i wciągnąć ją do wody.

Czapla mężnie stawiała opór i jak nożem cięła dziobem ciało szczupaka. Pomimo bolesnych razów „Żarłok“ nie puścił zdobyczy, ale w tej walce utracił jedno oko.

(D. c. n.) *Tłumaczenie z duńskiego.*

## **Komunikat Z. S. T. W. R. P.**

Zarząd Związku zawiadamia, że zostały wyczerpane Nr 1 i 2 „Wiadomości Wędkarskich“ roku bieżącego, w związku z czym wystąpił o powiększenie nakładu.

Opierając się na 3-miesięcznej obserwacji Zarząd Związku musi stwierdzić, że i Towarzy stwa Wędkarskie i prenumeratorzy „Wiadomości Wędkarskich“ sprawę ustalenia wysokości prenumerowanych egzemplarzy traktują zbyt lekko. Dotąd duża ilość Towarzystw nie odnowiła prenumeraty skutkiem czego Administracja pisma nie orientuje się w swych możliwościach.

Wydawałoby się nam, że odnowienie prenumeraty nie wymaga czekania do ogólnego Zgromadzenia, a każdy prenumerator już w końcu grudnia powinien być zdecydowany czy będzie chciał nadal pismo otrzymywać.



# Impregnacja sznurów

Jedną z cnót wędkarza-sportowca jest poszanowanie sprzętu sportowego, wyrażające się, między innymi, w zabiegach o możliwie najdłuższe zachowanie linewek z jedwabiu, lnu lub konopi, w stanie ich przydatności do celów wędkarskich.

Środkiem zmierzającym do przedłużenia używalności sznurków jest przede wszystkim ich impregnacja, a następnie każdorazowe dokładne wysuszenie niezwłocznie, po ukończeniu wędkowania.

Wiemy wszyscy z doświadczenia, że linewki ze sznurków nieimpregnowanych, namakając w wodzie, pęcznieją, flaczeją, płaczą się, skręcają, a przy częstym użyciu — truchleją. Otóż tym brakiem linewek sznurkowych, bez względu na materiał, z jakiego są zrobione, zapobiega w dużym stopniu nasycenie sznurka preparatem nierozpuszczalnym w wodzie.

Wiele czyniono prób w kierunku przygotowania preparatu najbardziej odpowiadającego powyższemu celowi.

W zaraniu swojej praktyki wędkarskiej robiłem również takie próby osobiście. Nasycam sznurek rozpuszczoną na ogniu parafiną, moczyłem je w pokostie (jak radzi Sabaniejew), impregnowałem w rozgrzanym na ogniu paku szewskim, zmieszanym z płynną smołą.

Wszystkie te środki zapobiegały nasiąkaniu linewek, lecz miały i swoje wady. Parafina, po ostygnięciu, tęższe i nadaje w chłodnej wodzie linewce pewną sztywność. Sztywność ta powoduje rozpadanie się parafiny i wykruszanie się jej w miejscach załamania linewki, na zwiądadkach. Pokost, po wyschnięciu, również zbyt usztynnia i mięknie w promieniach słońca, co znów czyni linewkę lepką i brudzącą palce, wędziska i kołowrotki.

Trzeba było robić dalsze eksperymenty i korzystać z doświadczeń innych wędkarzy.

Gdy sięgnąłem do dostępnej mi podówczas wędkarskiej literatury rosyjskiej, znalazłem tam szereg wskazówek, omawianych zastosowanie różnych preparatów, a służących do impregnacji sznurów.

W notatkach wędkarskich, które prowadziłem od 1905 roku, mam zapisane kilka recept na przystosowanie płynów do impregnacji sznurów.

Wszędzie w nich podstawowym składnikiem jest parafina.

W gotowych impregnowanych sznurkach fabrycznych daje się wyczuwać zapach wosku. Stąd prawdopodobnie powstała myśl dodawania do parafiny wosku, a dla zapobieżenia zbytniemu teżeniu w chłodnej wodzie zarówno parafiny, jak i wosku — zaczęto dodawać terpentynę, wazelinę i pokost.

Przytaczam poniżej kilka znanych mi oddawna recept, mniej lub więcej jednakowo dobrych:

1. Na wagę — dziewięć części wosku, dziewięć części parafiny stałej, dwie części wazeliny żółtej. Rozpuścić wszystko na ogniu, wymieszać i w rozgrzanym płynie impregnować sznurek. Preparatu tego używał z dobrym skutkiem wędkarz moskiewski Aleksander Beer, a sznurki impregnowane w ten sposób, według jego zapewnień służyły mu po 4 i więcej lat.
2. 200 gr. chemicznie czystej parafiny stałej i 4 gr. gęstej terpentyny weneckiej. Impregnować sznurki w preparacie, rozpuszczonym na ogniu. Używał tego płynu wędkarz rosyjski Henryk Bartels.
3. 200 gr. parafiny stałej, 100 gr. wosku, 1 łyżka stołowa wazeliny żółtej i 1 łyżka stołowa pokostu. Impregnować w płynie rozpuszczonym na ogniu.
4. 200 gr. parafiny stałej i 100 gr. wosku. Impregnować w płynie, rozpuszczonym na ogniu. Tego nieskomplikowanego preparatu używał z dobrym skutkiem znany przed 30 laty wędkarz rosyjski I. Iljin, o którego karpio wychaczył wspomniany p. Roman Głębocki w artykule swym „O łowieniu karpia“ („Wiadomości Wędkarskie“ Nr 4, 1937 rok).

Wszystkie powyższe recepty wypróbowałem osobiście i w rezultacie uznałem za najbardziej odpowiedni skład preparatu, podany wyżej pod liczbą 3 — ze zmianą tylko stosunku poszczególnych jego składników w ten sposób: 10 dk parafiny stałej, 5 dk wosku, 5 dk wazeliny żółtej i 3 dk pokostu. Tak przygotowane preparaty używam od kilkunastu lat i jestem z niego bardziej niż z innych preparatów zadowolony. Orzymuje się preparat, impregnujący sznurek na miękko. Impregnować należy w preparacie rozpuszczonym na ogniu.

Wreszcie dla zgrupowania na tym miejscu całości znanych mi recept impregnacji sznurków, pozwolę sobie powtórzyć recepty podane już w „Wiadomościach Wędkarskich“:

50 gr parafiny stałej i 50 gr parafiny płynnej

75 gr parafiny zwykłej, 15 gr wazeliny i 10 gr wosku.

Przy impregnacji sznurków w preparatach, rozpuszczonych na ogniu, należy uważać, ażeby, rozgrzewając preparat, nie dopuścić do jego wrzenia, ujemnie odbijającego się na właściwościach preparatu. Najlepiej rozgrzewać mieszankę, w tak zwanej wannie, tak, aby naczynie z preparatem wstawić do większego naczynia z wrzącą wodą. Poziom powierzchni wrzą-



tku w naczyniu większym, winien być trochę niższy od boków ścian naczynia z preparatem. Sznurek, przed zanurzeniem w rozpuszczony preparat, należy zwinąć w pierścień. Impregnować 10—15 minut. Sznurek pogrążony w płynie impregnującym w czasie nasycania, wydziela drobne pęcherzyki. Otóż miarą nasycenia sznurka preparatem będzie moment ukończenia się owego procesu „musowania“. Sznurek należy wyjmować z płynu za wewnętrzny koniec pierścienia, przeciągając jednocześnie go przez nacięcie w kawałku grubego kartonu, względnie przez nacięcie w korku. Dzięki temu zabiegowi uwalniamy sznurek z nadmiaru płynu. Niezależnie od tego sznurek, wydobyty z preparatu, przecieramy kilkakrotnie suchym, miękkim gałgankiem.

Nie znamy preparatu, któryby całkowicie opierał się niszcącemu działaniu wody. W największym stopniu nasiąkają impregnację fabryczne.

Toteż impregnację sznurków należy powtarzać przynajmniej raz do roku, przed nastaniem sezonu wędkarskiego, chociaż daleko celowiej impregnację odnawiać podczas sezonu, w miarę jak sznurek ztraca odporność na wodę.

Podaję wyżej garść praktycznych wiadomości z zakresu impregnacji sznurków. Niewątpliwie, pozostali koledzy mają także swoje oryginalne sposoby impregnacji sznurków, zdobyte doświadczeniem. Pożądanym jest, by podzielili się nimi z kolegami, na łamach „Wiadomości Wędkarskich“.

W. K.

## „Patałach“ ma szczęście

Pierwsze swoje kroki wędkarskie stawiałem pod okiem swego ojca — starego, wytrawnego wygi, w języku kolegów, zwanego „wydrą“.

Było to lat temu dwanaście. Mieszkaliśmy w Krakowie, skąd często robiliśmy wypad, bądź na wody pstrągowe (Skawa, Raba, Dunajec), bądź też nad Wisłę i stare wiślicka, na karpie, liny, brzany i szczupaki.

Pewnej pogodnej soboty lipcowej, w 1936 roku, namówił mnie ojciec do towarzyszenia mu na karpie do Ochodzy, koło Skawiny.

Nie miałem wielkiej ochoty, bo w niedzielę był ważny mecz ligowy, a wówczas bardziej pociągały mnie mecze piłkarskie, aniżeli ryby.

Prażyło słońce, cała przyroda zamarła w popołudniowym spoczynku.

Piękne i spokojne zalewy wiślane i „opaski“ o zarośniętych brzegach, nie zdradzały, że kryją jakieś żyjące istoty.

Koło godziny 4 po południu obsiedliśmy już brzegi, wyszukując dogodne miejsca i zastawiliśmy po 2 wędki karpkowe. Na zastawione wędki nie zwracaliśmy uwagi, nie mając żadnych nadziei na jakiegokolwiek sukcesy — a obiecując sobie dużo na późny wieczór i wczesny ranek. To też skupiliśmy się razem (bo jeszcze dwóch kolegów ojca było wraz z nami) na pogwarce. Z otwartymi ustami słuchałem opowiadań wytrawnych rybaków o ich sukcesach, chcąc się nauczyć sztuki wędkowania, marząc o tym, by nie jak oni złowić kilkanaście karpia w jednym dniu, ale chociaż jednego. Nagle opowiadania przerwał terkot kołowrotka. A że już jest utarty zwyczaj, że „patałach“ ma szczęście — serce na chwilę zamarło mi — i słusznie — to mój kołowrot zawarczał. Mentalnie stanąłem w pogotowiu przy kiju. Kołowrot znów zagrał — a spławik jednostajnym ruchem zanurzył się. Zaciąłem — silna riposta karpia była dowodem, że zacięcie jest skuteczne. Równocześnie

karp pokazał się w całej swej okazałości w skoku nad płaszczyznę wody. Nie wiedziałem z radości co się dzieje ze mną i tylko słowa ojca: „Janek wolno“, przywróciły mi świadomość, że trzeba wyteńczyć swe umiejętności, by nie powstydzić się przed „wygami“. Po kilku szusach wyholowałem karpia na przeszło 2 kg.



Rezultat jednodniowego połowu



Ucieszony sukcesem — zastawiwszy powtórnie wędkę — pobiegłem na przeciwny brzeg opaski do ojca, by pochwalić się zdobyczą.

Jeszcze nie skończyła się debata nad zbawionym karpem, a już drugi kołowrot dał znać o sobie. Jaka była moja radość — to znów mój. Tym razem już nie poszło tak łatwo. Kołowrot terkocze bez przerwy — pomimo zacięcia i hamowania. Czuję „na kiju“, że to duża sztuka — dowód tego miałem za chwilę, gdy przez wyrwę w opasce karp wydostał się na nurt Wisły. Wołał ojca na pomoc, zrzucając z serca pychę i zarozumiałość. Wprawną i wytrawną ręką ojciec wprowadził go z powrotem do opaski. Teraz zaczęła się zabawa. Potężny karp, ani myślał o kapitulacji. To skok w górę ponad wodę — to znowu szus w głębinę i znowu strata nawiniętej linki. Kancerek w pogotowiu. Po długich minutach wytężonej walki — zaczął opór słabnąć. Mogłem przystąpić do holowania

Karp przewracał się na boki i zdawało się, że już można kancerek podłożyć, tymczasem tuż przy brzegu wstąpiły w niego nowe siły i jeszcze po raz ostatni próbował szusem w głębinę uwolnić się. Silny sprzęt wytrzymał i tę próbę. W kancerek ledwo się zmieścił — ważył przeszło 5 kg.

Ucieszony takim sukcesem, pełen chwały — zaawansowałem na prawdziwego wędkarza. Teraz już nie myślałem o dalszych łowach. Zdążyłem jeszcze na pociąg i z obładowanym plecakiem powróciłem do Krakowa. Na mecz w niedzielę zdążyłem.

Dodam na końcu, że pozostali mój ojciec i jego towarzysze, łowiąc jeszcze przez całą niedzielę, przywieźli do domu łącznie jednego lina i jednego węgorza.

Tak to patałach ma zawsze szczęście!

Mgr Jan Ornatowski

## Kilka uwag o wypadkach w sporcie wędkarskim

W sporcie wędkarskim, prócz wielu rozkoszy, których dostarcza obcowanie sam na sam z przyrodą, można się również zetknąć z pewnymi przykrymi niespodziankami i wypadkami. Wymagają one znajomości podstawowych zasad ratownictwa, celem udzielenia właściwej pierwszej pomocy i zastosowania niezbędnych zabiegów, zmierzających do zapobieżenia ewentualnym gorszym następstwom lub nawet koniecznych dla uratowania życia ludzkiego.

Przed wszystkim więc wędkarz może się zetknąć oko w oko z topielcem. Wiemy, że utonięcie następuje przy dłuższym przebywaniu pod wodą, na skutek wykonywania instynktownych ruchów wdechowych i połykowych, przez co woda dostaje się do dróg oddechowych i pokarmowych, po czym następuje utrata przytomności i bezdech, a dopiero później ustanie akcja serca i przerwanie krwiotoku i w dalszej konsekwencji śmierć. Dopóki ośrodki krążenia i oddychania w centralnym układzie nerwowym są jeszcze w stanie reagować na podniety, dopóty można jeszcze topielca przywrócić do życia. Toteż przy jego ratowaniu nie należy się zrażać początkowym niepowodzeniem i stosować odpowiednie zabiegi przez czas dłuższy.

Po wyciągnięciu delikwenta z wody, obracamy go twarzą do ziemi, opuściwszy głowę nisko, celem usunięcia, o ile to możliwe, wody z górnych dróg oddechowych (nosa, jamy ustnej, gardzieli, krtani). Najlepiej wykonać to, klękając na jednej nodze, przerzucając topielca przez kolaną, twarzą do ziemi i uciskając przy tym klatkę piersiową. Jeżeli w jamie ustnej

znajdują się wodorosty, muł itp., należy je, o ile możliwości usunąć. Następnym zabiegiem jest zastosowanie sztucznego oddechu. W tym celu układamy topielca na wznak, podkładając pod plecy ubranie zwinięte w rulon (lub jakiś przedmiot analogiczny), aby umożliwić pełne ruchy klatki piersiowej.

Trzeba pamiętać, że u ludzi nieprzytomnych, a więc i u topielców, język opada do tyłu, zamykając wejście do krtani i uniemożliwiając przedostawanie się powietrza do płuc. Aby tego uniknąć otwieramy usta (co łatwo wykonać dzięki zwiórczeniu mięśni), chwytamy język, najlepiej przez kawałek płótna, chusteczkę itp. — ze względu na jego śliskość i trudność utrzymania w palcach — i przywiązujemy go, dajmy na to, chusteczką do szczęki dolnej. Jeżeli ratujących jest kilku, wówczas lepiej będzie, gdy jeden z nich przytrzyma język i będzie pociągał go rytmicznie, co ułatwia, a niekiedy — rzadko co prawda — wystarcza do przywrócenia samoistnego oddechu. Innym sposobem zapobieżenie opadaniu języka jest podtrzymywanie szczęki dolnej przez uniesienie jej ku górze, chwytając za jej kąty. Często wystarczy również obrócenie głowy nieprzytomnego do boku.

Powyższe czynności wykonujemy możliwie szybko by, co rychlej, przejść do najważniejszego zabiegu. Klęcząc poza głową chorego ujmujemy jego ręce w dolnej części przedramienia lub w kiści i wykonujemy rytmiczne ruchy, polegające na kolejnym odprowadzeniu kończyn górnych do pozycji wyprostnej, do tyłu poza je-



go głową (roszczerzenie klatki piersiowej — wdech) i następowym przywiedzeniu ich w pozycji zgiętej w łokciu do klatki piersiowej z uciskiem na górną część brzucha i łuki żebrowe (opadnięcie klatki piersiowej — wydech). Ruchy powyższe wykonujemy dokładnie, bez zbyteńego pośpiechu, mniej więcej co 3—4 sekundy (około 15—20 ruchów na minutę), aż do pojawienia się prawidłowych samoistnych ruchów oddechowych, co może nastąpić w pewnych wypadkach dopiero po dłuższym okresie czasu t. zn. po pół godzinie, a nawet — dłużej.

Bardzo celowe jest tutaj zastosowanie tlenu, lub lepiej mieszanek tlenu z dwutlenkiem węgla, który działa pobudzająco na ośrodek oddechowy. Ze względów technicznych będzie to jednak możliwe jedynie w nielicznych wypadkach.

Inny sposób wykonywania sztucznego oddechu polega na rytmicznym, mocnym uciskaniu dłońmi dolnej części klatki piersiowej od przodu. Zabieg ten wykonujemy kłęcząc nie przy głowie topielca, lecz z jego boku.

Jednocześnie wskazane jest rozcieranie ciała, ogrzewanie butelkami z gorącą wodą itp. Gdy topielec zostanie odratowany, trzeba pamiętać o ciepłym okryciu go, o podawaniu środków pobudzających, kawy, wysokoku itp.

Drugą nieprzyjemną przygodą, która może przytrafić się wędkarzowi jest uder słoneczny, wywołany przegrzaniem ustroju, a występujący na skutek operacji słonecznej, najczęściej w dni upalne i zarazem wilgotne.

Objawami charakterystycznymi dla tego rodzaju stanu chorobowego są: zaczerwienienie twarzy, bóle głowy, nudności, a często utrata przytomności. Pierwsza pomoc polega na ułożeniu chorego w cieniu, najlepiej w pozycji półsiedzącej, stosowaniu zimnych okładów (lód) na głowę, ewentualnym nacieraniu ciała zimną wodą, i zapewnieniu szybkiej pomocy lekarskiej w razie przedłużającego się stanu nieprzytomności lub niemocy.

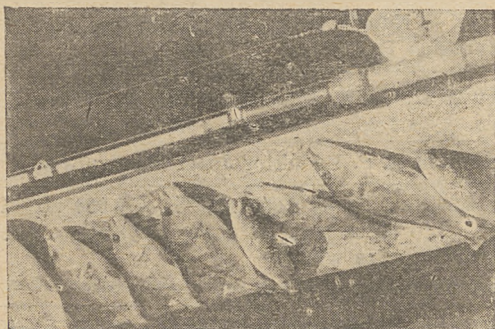
Jeśli mówimy o szkodliwym działaniu promieni słonecznych, musimy uwzględnić pokrótce również oparzenia przez nie spowodowane, któ-

re nad wodą zdarzają się tym łatwiej, że dochodzi tu również działanie promieni odbitych od tafli wodnej, a ponadto fakt, że ewentualne krople wody na skórze odgrywać mogą rolę skupiających soczewek. Roźniamy 3 stopnie oparzenia, zależnie od długotrwałości i nasile-



Niezwykłe ważne narady mistrzów Pow. Tow. Sportu Wędkowego w Tarnowie

nia działania promieni. W pierwszym występuje jedynie zaczerwienienie, obrzęk i piekący ból, w drugim powstają ponadto pęcherze wypełnione przezroczystym płynem, w trzecim — tutaj wyjątkowym — skóra twardnieje, staje się pergaminowa i ulega zgorzeli. Oparzenia 1-go i 2-go stopnia goją się nie pozostawiając zwykłego śladu po sobie, poza ewentualną pigmentacją. Oparzenia trzeciego stopnia natomiast goją się przez bliznowacenie, mogące czasem spowodować utrudnienie ruchów kończyn. Przy oparzeniach 1-go stopnia, pokrywamy skórę warstwą tłuszczu (wazelina borna, lub chociażby masło, najlepiej zaś olej lniany pół na pół z wodą wapienną). Oparzenia 2-go i 3-go stopnia wymagają opatrunków wykonywanych jałowo zachowaniem zasad aseptyki — (odkażenie rąk, narzędzia sterylizowane, jałowa gaza), polegających na usunięciu pęcherzy, oczyszczeniu rany i zastosowaniu 5% roztworu taniny, świeżo przygotowanego, celem zgarbowania skóry. W braku tych środków opatrunkowych nie należy dotykać ran i samemu zdejmować pęcherzy, lecz udać się w tym względzie o pomoc, do lekarza.



Fot. Z. Drzewicki

Piękne „garbusy“

(D. c. n.)

Dr. J. Z.



# Z życia Związku i Towarzystw

Dnia 18 września br. odbyło się w Warszawie posiedzenie Zarządu Związku pod przewodnictwem p. o. Prezesa R. Maksymowicza.

Przed odczytaniem protokołu z poprzedniego posiedzenia i przed gremialnym udaniem się na otwieraną tego dnia Ogólno - Polską Wystawę Rybacką kol. Wł. Czermiński zdał sprawozdanie z przebiegu organizacji Wystawy. Na koszty organizacji tej Wystawy między innymi Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich złożył sumę zł. 500.000. Wydatek ten obecnie, uznając za celowy akceptowali. Po powrocie z otwarcia Wystawy wznowiono obrady.

1. Omówiono i uzgodniono szereg spraw dotyczących Okręgowego Związku Sportowego Wędkarzy „WARTA” w Poznaniu i Krajowego Towarzystwa Rybackiego w Krakowie, pełniącego funkcję Oddziału Okręgowego Związku. Dla ustalenia rozrachunku tego ostatniego ze Związkiem postanowiono powołać Komisję skład której będzie usiało-ny później.

2. Przewodniczący podał ponownej dyskusji sprawę wezwania Nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów. Po dłuższej dyskusji ze względu na znaczne kcszta takiego Zjazdu i obawę, czy w momencie kończenia się sezonu wędkarskiego można liczyć na duże zainteresowanie postanowiono takiego Zjazdu nie zwoływać. Do czasu wezwania Dorocznego Zjazdu kol. Wł. Czermiński obiecał służyć swoją radą i pomocą przy prowadzeniu spraw Związku.

3. Postanowiono Zarząd terytorialny Oddziałów Okręgowych uzgodnić z podziałem administracyjnym, wobec czego Towarzystwa Wędkarskie w Bielsku i Cieszynie włączone zostały do Okręgu Śląskiego w Katowicach.

4. Przyjęto do wiadomości decyzję komisji zaproszonej przez Zarząd dla zadecydowania w sprawie Sportowego Towarzystwa Wędkarskiego Pomorza Zachodniego w Szczecinie.

5. Uchwała poprzedniego posiedzenia Zarządu co do utworzenia Funduszu Wydawniczego została sprecyzowana w sposób następujący: Postanowiono utworzyć stały Fundusz Wydawniczy w wysokości 1 miliona złotych przez zużycie na ten cel otrzymanych na wydanie książki F. Choynowskiego dotacji w sumie zł. 450.000 i przez przeniesienie pozostałości funduszu obrotowego z 1948 r. zł. 550.000.

Fundusz ten w tej chwili ulokowany jest w książce F. Choynowskiego „Wędkarstwo na wodach Polskich”.

6. Obecny na posiedzeniu Redaktor „Wiadomości Wędkarskich” kol. J. Wyganowski obiecuje przyłożyć wszelkich starań, by pismo wychodziło we właściwych terminach.

7. Uznano sprawę lokalu dla biura Związku za palącą i polecono jej załatwienie Prezydium Zarządu.

8. Postanowiono ujednolicić pieczęcie Związku i Oddziałów Okręgowych.

9. Zaakceptowano opracowany przez kol. I. Kołodziejczaka Statut Wzorcowy dla nowozakładanych Towarzystw.

10. Opracowany przez kol. Wł. Czermińskiego projekt regulaminu sportowego dla Towarzystw Wędkarskich postanowiono rozesłać członkom Zarządu dla poczynienia uwag.

11. Zebrani wyrażają celowość zorganizowania wczasów wędkarskich na Mazurach i mimo dwukrotnie nie uzyskania pozytywnych wyników u czynników mlarodajnych powierzono kol. W. Korzyńkowski z Olsztyna przygotowanie odpowiednich wniosków.

12. Wydanie kalendarza wędkarskiego uznano za wskazane i polecono Prezydium Zarządu przystąpić w granicach możliwości do zrealizowania tego projektu.

13. Na wniosek kol. I. Kołodziejczaka zgodzono się, że po załatwieniu spraw bieżących gros czasu przyszłych posiedzeń Zarządu po-

święcone będzie wysłuchaniu referatów i dyskusji z terenów wszystkich Oddziałów Okręgowych.



Dnia 4 maja 1949 r. na zebraniu organizacyjnym zostało założone Towarzystwo Klubu Wędkarskiego w Fordonie pod nazwą Fordoński Klub Sportu Wędkarskiego „Wisła” w Fordonie.

W skład zarządu zostali wybrani kol. kol.:

- Prezes — Mroczyński Bronisław,
- I V-ce Prezes — Nowak Alfons,
- II V-ce Prezes — Rządkosz Stanisław,
- Sekretarz — Chadryś Leon,
- Skarbnik — Wiśniewski Kazimierz,
- Gospodarz — Grelewicz Edmund,
- Członkowie: Kotowski Leonard, Dr Brzozowski Marcin, Nicieński Masyilian.

Klub rozwija się pomyślnie i liczy 70 członków.

## To i owo

Lin, ryba tak mało wymagająca, zużywa w ciągu jednej godziny przy temperaturze 15 stopni C. tlenu:

- 1 kg. jednoletnich linów zużywa 103 cm<sup>3</sup>.
- 1 kg. dwuletnich linów zużywa 69 cm<sup>3</sup>.
- 1 kg. trzyletnich linów zużywa 50 cm<sup>3</sup>.

Z powyższego widać, że im starsze są liny, tym mniej potrzebują tlenu.

A jeden decymetr sześcienny równa się jednemu litrowi.



Piskorz jest jedyną z naszych ryb, która czerpie tlen nie tylko z wody, ale i z powietrza.

W tym celu wypływa z wody, łyka powietrze i za pomocą jeliit wchłania tlen, zawarty w powietrzu.

Adres Redakcji: Warszawa, Mokotowska 46 m. 17; Administracji: — Nowogrodzka 15. Konto czekowe PKO Związku Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Nr I — 8276.

Cena egzemplarza 40 zł. Dla wędkarzy zrzeszonych w Związku 25 zł. Cena w prenumeracie dla niezrzeszonych 420 zł. rocznie.

Wydawca — Związek Sportowych Towarzystw Wędkarskich R. P. Redaktor Józef Wyganowski

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona okładki lub za tekstem: 1/1 — 10.000 zł., 1/2 — 8.000 zł., 1/3 — 6.000 zł., 1/4 — 4.000 zł., 1/5 — 2.000 zł.; — Za ogłoszenia w tekście drożej o 50%. Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem po 10 zł. za wyraz; grubym drukiem po 20 zł. za wyraz.

Za dział ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów, rysunków, fotografii itp. Ponadto Redakcja zastrzega sobie prawo robienia zmian w nadesłanych rękopisach, poprawek itd.